



## ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

31

— Mój kochany, prosta sumienność wobec zakładu nakazuje mi ostrzedz przed takim złym człowiekiem. Dzięki jego plotkom zrobiłeś mi wstrętą awanturę.

— Ja? Ja?

— A tak, ty sam! Przypomnij sobie, jakie ohydne podejrzenia rzucałeś mi w twarz. Dobrze, że jestem niewinna i że wszystko, co mówił, było oszczerstwem, ale gdyby trafiło na inną kobietę? Nie, on musi być ukarany i to surowo, dla przykładu.

— Luciu, ale gdybym ja cię prosił?

— Teraz prosisz, a potem znów bluźnisz o jakimś Szarockim lub innym.

— Nie, Luciu! Nie!

— Ostatecznie nie chciałabym cię narażać na śmieszność, boś przecież mój mąż, i nie pójde do zarządu ze skargą, ale pod warunkiem.

— Jakim?

— Dasz mi słowo uczciwego człowieka, bo wiem, żeś uczciwy, że nigdy nie będziesz dopłytywał się pokątnie o mnie, czy dobrze?

— Zgadzam się.

— Zapytaj mnie wprost, ty wiesz najlepiej, że nigdy nie kłamię.

— Tak, to prawda, — powiedział tonem szczerym.

— Następnie pamiętaj, że gdybyś miał jakieś wątpliwości, bo i to możliwe przy twojej manii, gdyby nawet pozory przemawiały przeciw mnie, ty najpierw mnie zapytasz, wysłuchasz i nie zrobisz mi żadnej sceny zazdrości.

— No... tak... zapewne... ale to zależy jednak od tego, jakieby były te pozory.

— A widzisz! Już jesteś zazdrosny, chociaż nic nie ma i nie będzie.

— Nie, Luciu... tylko, czy za wiele swobody nie wymagasz?

— Ja! Przecież jestem ci wierna i posłuszna, jak niewolnica, czy zdradziłam cię kiedykolwiek? oszukałam? skłamałam? No, powiedz!

— No, tak. Naprawdę nie mam ci nic do zarzucenia, ale zważ to nadszkakiwanie takiego Szarockiego...

— Tak! — zaśmiała się ironicznie, — ty w razie potrzeby masz krótką pamięć. Czy nie chciałam zmienić miejsca przy stole? Czy nie chciałam ani go witać, ani z nim rozmawiać? I kto mnie zmusił wbrew mej woli?

— To znów co innego... zresztą dajmy pokój tej sprawie.

— Ale mam słowo twoje?

— Tak jest.

— I jeszcze jedno... Bardzo cię proszę, nie rób żadnych komedii z tym Szarockim. Właściwie co on nas obchodzi? Żądałeś, ażebym go znała nadal, jestem posłuszna, ale nie chcę już o nim nic słyszeć.

— Dobrze, już nie wspomnę o nim.

### XVI.

Borowiecki był codziennym gościem u pani Wandy. Gdy pogoda była możliwa, wychodzili po obiedzie na dłuższe spacerowanie z Dorcią, a w razie słoty popołudnia i wieczory spędzali w pokoju pani Wandy. Bardzo im na rękę była obecność Dorci, gdyż chroniło ich to od plotek

i podejrzeń, i jakkolwiek opróżniły się tańsze pokoje w zakładzie, pani Wanda nie pozwoliła Dorci na przeprowadzkę.

Na razie ten stan rzeczy, te popołudniowe i wieczorne godziny, spędzane wspólnie, miały dla nich dużo uroku i ponęty. Były to tak przyjemne chwile wzajemnego poznawania siebie przez zwierzenia z minionego życia, z marzeń, pragnień i snów, co wszystko razem wytwarzało atmosferę przyjaźni i wzajemnego zaufania.

Wkrótce pokazało się, że tych godzin wspólnych jest za mało, zwłaszcza, że poranki wiosenne są tak piękne, świeże, promienne, więc należy z nich korzystać. I pani Wanda z Dorcią schodziły na śniadanie do sali wspólnej i układały plan na cały dzień.

Jakiś czas było im bardzo dobrze i tak sobie wystarczali, tak zazdrośnie strzegli, ażeby im nikt nie zepsuł tego cichego szczęścia, że z resztą towarzystwa zachowali tylko konieczne formy przywitania i dalekich ukłonów. Żyli w swoim świecie i tylko dla siebie, a inni zaledwie isnieli dla nich. Nie chcieli widzieć i słyszeć, więc nie widzieli złych i zgorzonych spojrzeń, nie słyszeli ukrytych złośliwości i żądań, których im nie szczędzono. Wszystkie strzały odbijały się nieszkodliwie o ich pancerz wzajemnej przyjaźni i spokojnego szczęścia.

Pani Wanda czuła się z każdym dniem zdrowszą, weselszą, cieszyła się słońcem, kwiatami, szmerem potoków, szumem lasów, Tatrami, których wiry były jeszcze otulone śniegami.

Dawniej lubiła się ubierać strojnemu i modnemu, trochę przez próżność, trochę przez ambicję, a głównie dla siebie samej; teraz, suknie jej były skromne w ozdobach, wprowadziła wykwintne pod względem materiału i kroju, ale niewyszukane, a tylko piękne swą prostotą. Nosiły one na sobie cechę wstrzemięźliwości i dyskretnej elegancji młodych panien.

Ten strój zewnętrzny był odbiciem jej usposobienia i nastroju. Twarzyczka jej, zawsze piękna, miała teraz wyraz pogody, zaufania i wiary w ludzi i cuda świata; ciało nabrało dziewczęcej gibkości, a ruchy były harmonijne, łagodne, leciutko onieśmiałe, jak gdyby żywszym poruszeniem bały się spłoszyć sen czarodziejski.

Mąż, stosunki domowe, nawet dziecko, zanębiły się w jej pamięci, a jeśli czasem nasunęły się jej na myśl, przyjmowała je spokojnie, wpatrywała się w te obrazy bez wzruszenia, niepokoju, przykrości, jak na przeżyte chwile innej, obcej dla niej osoby.

— Wiesz, Dorciu, — przemówiła pewnego jasnego poranka, — tak mi dobrze, jak gdybym na nowo żyć zaczęła.

— A ja sądziłam, — uśmiechnęła się Dorcia, — że to nowe życie dawno już się zaczęło; przecież pani może dogodzić każdej swej fantazyi.

— Ty tego nie rozumiesz, Dorciu, boś młoda i lekceważysz dla niepewnego jutra, a każde nowe pragnienie sprowadza niepokój, troskę, obawę i psuje szczęście. Dziś, ja niczego nie pragnę nowego, to życie wystarcza mi zupełnie i dobrze mi z niem.

Borowiecki upajał się harmonią, jaką zapanała pomiędzy nim a panią Wandą. Wprawdzie od czasu do czasu narzucało mu się pytanie: i co dalej? ale był za leniwy, ażeby sił

się na odpowiedź, i zamiast niej przywoływał obraz pani Wandy, jej wdzięku i urody. Jedynym pragnieniem jego było, ażeby zacieśnić łączące ich węzły. On to nakłonił panią Wandę do ranego wstawania, on zachęcał do wycieczek dalszych i bliższych. Każda chwila bez niej dłużyła mu się w nieskończoność i skracał ją, rozmyślając o niej, planując przebieg dnia taki, ażeby być razem z nią.

Jednego dnia przy obiedzie wszczeła się rozmowa o wadach ludzkich, przyrodzonych i nabytych.

— A pan do jakiej poczuwa się wady? — spytała pani Wanda Borowieckiego, na co sąsiedzi zwrócili uwagę.

— Do rozkosznego lenistwa, a może nawet do zaniku woli.

— Zwykle następstwo hypnozy, — odezwał się z niewinną miną pan Maniecki, co wywołało uśmiechy i porozumiewawcze spojrzenia pań. Niespodzianie pan Łotuski rzekł szorstkim głosem:

— O swych wadach prawdziwych każdy mówi niechętnie i stara się je usprawiedliwić, daleko szczerzej przyznaje się człowiek do swych zalet.

Słowa te wzbudziły chwilowe zaciekawienie, zwłaszcza, że powiedział je pan Łotuski, uchodzący ogólnie za niebardzo przyjemnego towarzysza.

— Nie wątpię, że pan ma dużo zalet, — przemówił z powagą pan Maniecki, — ale którą miał pan na myśli?

— Jednak mogę sobie przyznać bez żadnych zastrzeżeń, a mianowicie, nigdy nie umizgałem się do cudzych żon, — mimowolnie zawadził złością oczyma o Szarockiego i Borowieckiego, — nigdy nie kradłem honoru i spokoju obcego męża.

Było w tych słowach tyle szczerości i wewnętrznego bólu, że wszyscy umilkli, tylko niepoprawny Maniecki rzekł ze śmiechem:

— Łatwo być cnotliwym, gdy niema sposobności do grzechu, a szanowny pan pewno jak Józef uciekał od Putyfary w imię zasad.

Zaśmiali się ci i owi, rozweselił się też bez potrzeby pan Łotuski i odpowiedział:

— Hm... różnie bywało. Oparłem się jednak pokusom, — tem odezwaniem się zepsuł wrażenie swoich pierwszych słów.

Rozmowa zesłała na inne tory, ale w umyśle Borowieckiego utkwiła uwaga Manieckiego o „hypnozie“ i słowa Łotuskiego o umizgach do cudzych żon. Jednak z panią Wandą rozmawiał swobodnie, jak zwykle i po obiedzie poszli na projektowaną wycieczkę do Jaworzynki.

Wracali z Hali jaworzynieckiej pieszo do Kuźnic, gdzie czekał na nich powóz.

Pani Wanda czuła zmęczenie i w powrotnej drodze szła wsparta na ramieniu Borowieckiego.

Droga wiodła głębokim wąwozem leśnym, odsłoniętym tylko ku południowi. Uderzyła w nich gorąca fala oparów leśnych, przepojonych żywicą, ziołami i ostrą, rzeźwą wonią rozbudzonej wiosny. Dorcia poszła przodem, szukając kwiatów i świeżej zieleni do bukietu; zostali sami wśród głębokiej ciszy, zaledwie przerywanej leciutkim poszumem drzew i echemi szmeru ukrytego gdzieś strumyka.

Pani Wanda zwróciła swą twarz do niego i, wskazując oczyma na gonne smreki, pnące